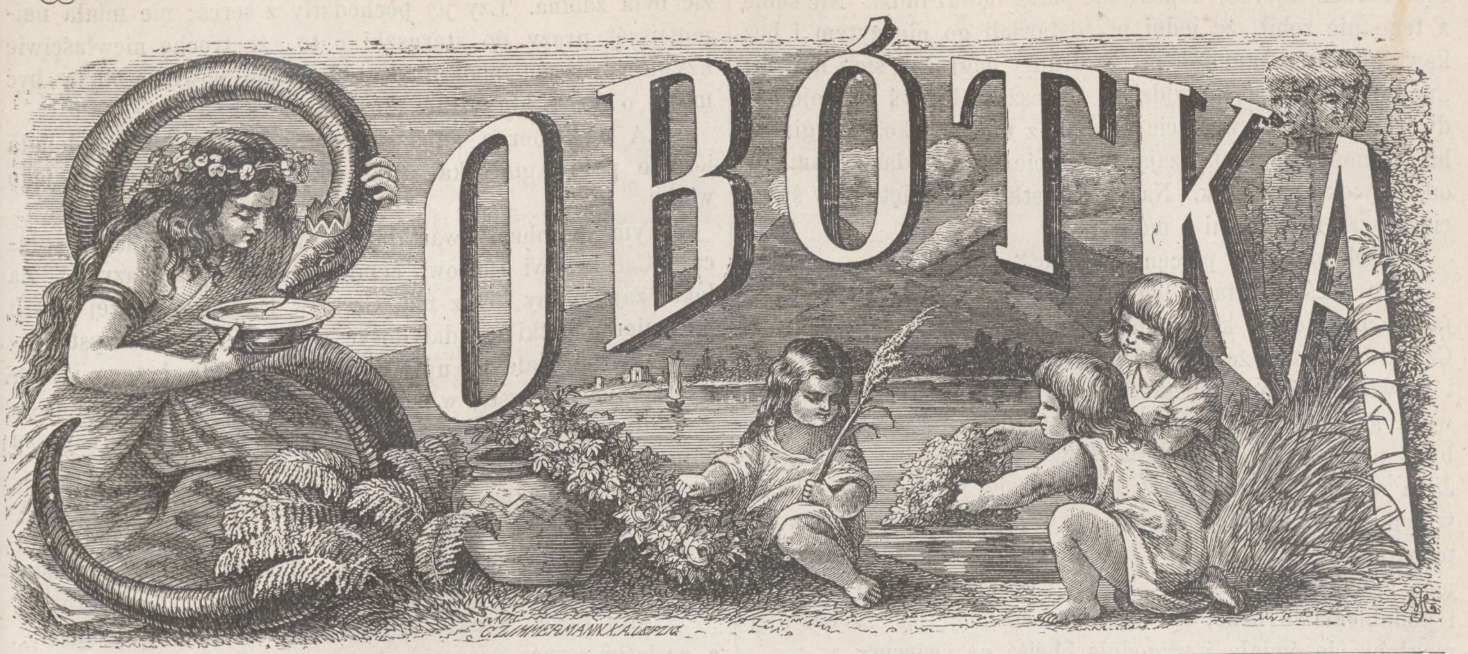
Nr. 29. Poznań, dnia 15. Lipca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PIĘKNE ZA NADOBNE

(HUMORESKA)

napisał

Władysław Sabowski.

(Ciąg dalszy.)

Kto się trzyma konsekwentnie jakiéj zasady, temu wolno nie zważać, co tam z tego powodu ludzie na niego gadają. Gdyby zważał na gadaniny, musiałby nieraz od zasady odstąpić, obojętność na cudze głosy jest więc pierwszym warunkiem konsekwencyi.

Lecz kto jest konsekwentnym, ten powinien bez sarkania przyjmować także i inne, oprócz gadanin ludzkich, następstwa swojéj zasady, następstwa, które być mogą o wiele od gadania przykrzejsze.

Czesław Duś był na to przygotowanym, ale nie obawiał się żadnych groźniejszych skutków w przyszłości z wyłącznego polegania na samym sobie.

„Mam pieniądze", konkludował zawsze ile razy świat i ludzie na myśl mu przyszli, „jestem ostrożny, więc ich nie stracę, jestem oszczędny, więc je pomnożę, — za pieniądze wszystko mieć można, co mi zatém będzie potrzebne, to sobie kupię, co będzie na mnie za drogie bez tego się obejdę, ciekawym po co mam sobie skarbić serca ludzkie?... Towar to kosztowny, a kruchy... póki go nie potrzebować ładnie wygląda, a jak pierwszy raz użyć, tłucze się i zawodzi.

Z tych uwag, z tego systemu życia, z téj stałości z jaką się trzymał raz przyjętych zasad, tego stoicyzmu, z jakim się rezygnował na przyjęcie wszelkich skutków swego postępowania i wyrzekał wszystkiego co było nad jego możność, ze wszystkich tych rysów jednem słowem, jakie w jego charakterze dostrzegliśmy, znać że Czesław Duś był filozofem.

Jakim sposobem do tego przyszedł, kiedy guwernantki nie uczyły go tak abstrakcyjnych rzeczy, a nawet prawdopodobnie nie wiedziały, że podobnych spekulacyi rozumowych jako nauki uczyć kogoś można?

Na to pytanie odpowiedzieć możemy tylko przypuszczeniem. Czesław Duś musiał mieć chyba jakoś wrodzony talent do filozofii praktycznego życia.

Za to do filozofii przyczyn i celów, do rozwiązywania zagadek bytu, jego początku i końca, do szukania owego x, które tysiąckroć znalezione zawsze jeszcze iksem zostaje, Czesław Duś nie miał najmniejszego talentu.

II.

Z ową filozofią praktycznego życia było Czesławowi wygodnie przez lat sześć. Był kontent z zasad, któremi się rządził i tém się różnił od Francyi, która już od stulecia nie była ani razu przez sześć lat z rzędu zadowoloną z zasad, jakiemi ją rządzono. Obchodził się bez ludzi, bezwarunkowo odmawiał wszelkich czy to większych czy mniejszych przysług, jakich od niego zażądano, i wychodził na

tém bardzo dobrze, dopóki nie potrzebował ludzi. Nic sobie z tego nie robił, że jedni przedstawiali go nieużytym i bez kawałka serca samolubem, że drudzy odgrażali się i mówili: „poczekaj, dudku, przyjdziesz ty jeszcze kiedyś na moje podwórko", że inni wreszcie szydzili z niego, jako z oryginała lub z monomana, spędzającego życie na oglądania zamków od skrytek i schówek. Na to wszystko najobojętniéj w świecie ruszał ramionami i mówił:

„Pokiwacie mi palcem w bucie."

Po sześciu latach jednak od śmierci matki, przyszła, jak to powiadają, kréska na Matyska. Życie miało nauczyć Czesława Dusia, że oprócz niego są i inni ludzie potrzebni i to właśnie jemu samemu. Dotąd bowiem Czesławowi zdawało się, że z wyjątkiem jego nieboszczki matki, która była potrzebną, ażeby nim świat obdarzyć, z wyjątkiem Jana w Oleju Dusia, bez którego się matka jego obejść w tym przypadku nie mogła, z wyjątkiem wreszcie dwóch przyrodnich braci, którzy byli niezbędni, aby się na rzecz jego zrzec mogli majątku, reszta istot stworzonych na obraz i podobieństwo boże, była tak dalece obojętną, że bez niéj mogłoby się śmiało i wygodnie obejść na świecie.

Pierwszą istotą, w któréj potrzebę na tym padole wierzył Czesław Duś, była panna Pelagia Firmska, winniśmy się więc z tego względu bliżéj cokolwiek z nią zapoznać.

Panna Pelagia była „kochaną Pelasią", prawą ręką matki Czesława Dusia. Za jéj życia ona zawiadywała magazynem, posiadała nieograniczone zaufanie pani Agnieszki, i tak znakomicie wywiązywała się ze swych obowiązków, że wszystkie panie poznańskie ją lubiły i z największą przyjemnością kupowały kapelusze i stroiki w magazynie pani Dusiowéj, wiedząc że tam tylko gust każdéj zupełnie zadowolonym będzie.

Tym sposobem pani Dusiowa znakomitą część swéj fortuny winna była Pelasi i postanowiła jéj się odwdzięczyć.

Na krótki czas przed śmiercią, robiąc rozporządzenia majątkowe, pani Dusiowa rzekła do niéj:

„Moja Pelasiu, wiem dobrze com ci winna i dla tego umierając pragnę cię uczynić szczęśliwą."

Pelasia ucałowała stygnące i tężejące już jéj ręce i rzewnemi zlała je łzami.

„Powiedz mi, bo ty to wiesz najlepiéj", mówiła daléj pani Agnieszka, „ile wart być może mój magazyn?"

„Sześć tysięcy talarów możnaby zacenić... oddać za pięć bez krzywdy."

„A no, widzisz, oceniłaś go sama... otóż ten magazyn ja ci daruję."

Nowe, gorętsze jeszcze ucałowanie rąk i rzewniejsze od poprzednich łzy Pelasi, odpowiedziały na tę szczodrobliwość.

„Tak jest daruję ci go", powtórzyła pani Dusiowa, „napiszę to w testamencie. Po mojéj śmierci magazyn jest twój, mnie za niego nie dasz ani feniga. No... ale widzisz, Czesławka krzywdzić nie podobna, więc jemu zapłacisz... ratami. Co rok tysiąc talarów przez sześć lat... procentu od zalegającéj należności żadnego... cóż?... zgoda?..."

Dla Pelasi i taka darowizna była szczęściem, przyjęła ją też z wdzięcznością, która tylko głośnem łkaniem wyrazić była zdolna. Łzy jéj pochodziły z serca; nie miała najmniejszéj urazy do staruszki o to, że trochę niewłaściwie używała wyrazu podarunek tam gdzie powinna była być mowa o dosyć korzystnéj sprzedaży.

„A o komorne zgodzisz się z Czesławkiem", dodała jeszcze pani Agnieszka, „nie chcę w tém krępować jego woli."

Tym sposobem kwartalnemi ratami panna Pelagia spłacała Czesławowi Dusiowi cenę szacunkową magazynu. Za lokal zajmowany przez nią, Czesław Duś w pierwszéj chwili po śmierci matki zażądał dosyć mało, coś około trzystu talarów rocznie, ale po upływie roku pożałował tego i podwyższył na czterysta, w następnych latach podwyższał jeszcze kilka razy, tak że w szóstym roku brał już czynszu z magazynu pięćdziesiąt lalarów miesięcznie.

Panna Pelagia wypłacała się regularnie i z ceny szacunkowéj i z komornego, magazyn widać szedł doskonale.

W końcu szóstego roku, gdy odniosła Czesławowi ostatnią ratę, Czesław westchnął boleśnie.

„Mój Boże", rzekł, ubywa mi taki piękny dochód!... a wydatki rosną, wierzaj mi pani, panno Pelagio, codzień rosną... człowiek ledwie może wyżyć, choć ludzie mi zazdroszczą i mówią żem bogaty. Mając o tysiąc talarów na rok mniéj, muszę pamiętać o sobie..."

Guwernantki nie nauczyły widać dobrze buchhalteryi naszego bohatera, dla tego nie dziwmy mu się, że spłatkę szacunku ze sprzedaży magazynu liczył do dochodów. Rachował za to do wydatków pieniądze, które składał do kasy oszczędności, zawsze więc arytmetyce stawało się zadość.

„Muszę pamiętać o sobie panno Pelagio", powtórzył, i dla tego nie dziw się pani, że podwyższe pani komorne... mało... niewiele... o drobnostkę... o dziesięć talarów miesięcznie... Lokale, widzi pani, idą w górę... gdybym chciał przyjąć do domu Niemca, dałby mi jeszcze więcéj ale i dla narodowości coś poświęcić trzeba."

Panna Pelagia odrzekła zimno:

„Nie, panie Czesławie... tyle płacić nie mogę i nie zapłacę..."

„A to... ja nie wiem jak będzie."

„Ja... wiem."

„Wyprowadzisz się pani?... porzucisz takie dobre i od tylu lat zajmowane miejsce w środku miasta, i będziesz szukała tańszego lokalu?... gdzie?... może na Chwaliszewie albo na Śródce?... ciekawym kto tam przyjdzie do pani magazynu?... stracisz pani na zmniejszonym odbycie trzy razy tyle co na czynszu oszczędzisz... a ja... ja będe musiał lokal wypuścić Niemcowi... narodowość na tém ucierpi... Nie, pani... tego nie zrobisz... sam patryotyzm na to nie pozwala..."

Panna Pelagia słuchała cierpliwie, ale pozostała niewzruszoną.

„Nie potrzebuję wyprowadzać się na przedmieście", rzekła, gdy Czesław skończył, „mam już mieszkanie zaraz w sąsiednim domu."

„U Kahlbergera... u Niemca!... gdzież patryotyzm, panno Pelagio?... zresztą on żąda za swój sklep tysiąc talarów..."

„Ha! to téż żeby nie płacić tak drogo, i nie mieszkać u Niemca, zdecydowałam się kupić jego dom i... kupiłam.“

Czesław Duś zerwał się z krzesła. Nie wierzył własnym oczom. W pierwszéj chwili chciał krzyczeć „gwałtu!“ bo przyszło mu na myśl, że Pelasia, korzystając z nieograniczonéj ufności jaką miała u jego matki, dobrała się przed jéj śmiercią do kapitałów i część ich sobie przywłaszczyła. Odpędził jednak tę myśl, bo wiedział, że pani Agnieszka zbyt dobrze znała stan swego majątku i że wszystko po jéj śmierci znalazło się w całości.

„To nie może być!... powtórz pani... nie dosłyszałem!...“ zawołał.

„Kupiłam kamienicę Kahlbergera.“

„Ależ to niepodobna!... ta kamienica warta piętnaście tysięcy talarów!...“

„Piętnaście tysięcy pięćset sześćdziesiąt“, poprawiła panna Firmska.

„I pani dałaś te pieniądze?“

„Dałam blisko połowę... ośm tysięcy pozostało na hypotyce... mam spłacać co rok po tysiącu, tak jak panu spłacałam...“

„O!... to chyba moja mama nieboszczka, Panie jéj świeć, że tak powiem oszalała przed śmiercią i dała pani ciepłą ręką jaką sumę... Taka darowizna jest nieważna... Kto ma dzieci nie ma prawa szastać majątkiem... ja sądownie dowiodę, że mama nie miała w ostatnich chwilach zdrowych zmysłów...“

Pana Pelagia oburzyła się.

„Chyba pan ich teraz nie masz, panie Czesławie...“ rzekła z gniewem, „nieboszczka pani nie dała mi nic, oprócz magazynu i słów życzliwych, za które wdzięczną jéj jestem...“

„Więc zkądże pani masz tyle...“

„Z magazynu... żyję oszczędnie... możesz pan przejrzeć rachunki... przynosi mi rocznie przeszło trzy tysiące talarów...“

„Co?... aż tyle?...“

„Tak jest.“

„Więc pani oszukałaś mamę, taksując go na sześć tysięcy... Taki magazyn wart tyle co kamienica przynosząca trzy tysiące dochodu... pięćdziesiąt tysięcy przynajmniéj...“

„Nie, panie... spytaj się kogo chcesz, a przekonasz się, że i dziś nie dostałabym więcéj jak dałam. Zresztą interes nasz skończony, z upływem roku wyprowadzam się, szukaj pan innego lokatora... wypłaciłam się co do trojaka, zostajemy sąsiadami, jak się spodziewam zgodnemi, bo ja nikomu wody nie mącę lecz też nikomu mącić jéj sobie nie dam. Oto wszystko com panu miała powiedzieć, a teraz... żegnam pana.“

To powiedziawszy, wyszła.

Czesław Duś pozostał osłupiały. (C. d. n.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Ptaki zwiastunami stanu powietrza.

Fakt to jest ogólnie uznany, że zwierzęta posiadają jaśniejsze zbliżającego się stanu powietrza przeczucie niż człowiek, który albo mało na powietrze uważa albo nie dość bystro uczuwa jego wpływy. Wieśniacy a mianowicie owczarze, przebywający często w towarzystwie zwierząt, znają doskonale znaki, będące zapowiedzią nadpowietrznych zjawisk. Po dzikich skokach bydła rogatego, poznają doświadczeni, że dnia tego grzmieć będzie; nizki lot owadów i jaskółek, jako też uporczywe ssanie krwi bąków i komarów oznacza deszcz niedaleki. Przed każdą burzą w strefie gorącéj wszystkie zwierzęta są nadzwyczajnie poruszone, lubo nieba ani jedna jeszcze nie okrywa chmurka; na długo przed wybuchem straszliwéj walki natury mrówki kryją się do nór swoich. W tenże sam sposób postępują przed każdém trzęsieniem ziemi. Wiemy także z doświadczenia, że żaby zwykle już na dwanaście do dwudziestuczterech godzin przed deszczem gorliwie rzegocą lub gdy pogodne ma nadejść powietrze wdrapać się usiłują na najwyższy punkt swych kryształowych więzień.

Bądź co bądź należy poprobować przynajmniéj czyby z obserwacyi tych nie można przepowiedzieć stanu powietrza nadchodzącego. Że z tego więcéjby daleko nauczyć się można niż trzymając się wiary w ulubione marzenia księżycowe, jest równie prawdziwém, jak z drugiéj strony rzeczą jest pewną, że zwierzęta lepszemi są zwiastunami powietrza niż wielu rozumnych niby ludzi, którzy opierając się na fikcyach, z przepowiedni robią rzemiosło. Jak wiele innych sił duchowych tak i instynkt zwierząt jest czémś tak szczególném, że badacze przyrody nie umieją go z analizować: uznają lub przeczą jego istnieniu. Zwykle oni twierdzą, że zwierzę w skutek wielkiéj wrażliwości systemu swego nerwowego, jest w stanie zastósować się do przyszłego położenia i że większa część instynktowych jego czynności od wrażliwości tego systemu zawisła, ale przypuszczenie to zdaje się o tyle być za śmiałém, że wrażliwość nerwowa owych zwierząt nie na godziny i dnie, lecz na tygodnie i miesiące się rozciąga, t. j. że zwierzęta przygotowują się na wypadki, które po tygodniach dopiero lub miesiącach zdarzyć się mają i że — co daleko jeszcze jest dziwniejsza — nacisk powietrza i stan ciepła systemu nerwowego doskonale przeczuć umieją. Wyznajemy naszą w téj mierze nieświadomość, lecz zarazem przyznajemy, że podobna delikatna wrażliwość nerwów co najmniéj równie cudowną nam się być zdaje, jak siła duchowa, która w bezwiednym popędzie prowadzi zwierzę do tego co mu jest zbawienném. Jakkolwiek kto będzie zapatrywał się na te objawy życia zwierzęcego, przyzna, że zwie-

rzęta daleko lepiéj na stanie powietrza się znają niż my. Powiedziawszy to, przytoczmy teraz kilka faktów temat nasz objaśniających.

Z pomiędzy wszystkich zwierząt najlepszemi niezawodnie zwiastunami powietrza są ptaki; są one przynajmniéj temi których najłatwiéj obserwować możemy. Bo lubo równie pewną jest rzeczą, że cięźkiéj należy się spodziewać zimy, gdy glisty głęboko zakopują się w ziemi, gdy mrówki do najgłębszych nór się kryją, lub gąsienice szczelnie owijają się liśćmi, to jednak obserwowanie faktów podobnych daleko więcéj wymaga pracy i mozołu, niż po czytelnikach naszych wymagać nam wolno. Obserwacya ptaków natomiast nie ulega żadnym trudnościom. Nie zajmując się niemi wyłącznie widać je lub słychać, gdy przylatują lub odlatują, a cała sztuka przepowiadania powietrza polega po prostu na tém, żeby nieco uważniéj je obserwowano, niż to powszechnie dziać się zwykło.

Gdy ostra zagraża zima, — powiadano mi w okolicach nadbałtyckich — pojawiają się na wybrzeżach Bałtyku i morza Północnego i nawet głębiéj w kraju północne ptaki przelotne, niezwykłe. I dla tego to zdarza się widzieć na daleko od morza oddalonych jeziorach i stawach ptaki błotne i wodne, które przez lat tam wiele nie bywały. Nawet ptaki północne po ziemi chodzące bywają wtenczas tam częściéj niż w innych latach. Jeżeli drozdy, kwiczoły i zięby bardzo są niespokojne, wtedy zwykle nadchodzi powietrze burzliwe; jeżeli się bardzo spieszą z odlotem, tak że ledwo sobie dają czas do pożywienia, wtenczas śniegu spodziewać się można. Północne gęsi dzikie pozostają na bogatych w zboże i wodę równinach naszego kraju dopóty, dopóki żywić się zasiewem mogą. Jeżeli się zaś zrywają i nie tylko dniem ale i nocą odlatują, wtenczas liczyć można na rychły śnieg. Jeżeli natomiast jeszcze w Grudniu na polach naszych zięby i skowronki spotykać się dają, znak to, że zima będzie łagodna.

Na wiosnę zachowanie się ptaków pozwala jeszcze więcéj wniosków o przyszłym stanie powietrza wyprowadzać.

Na wiosnę r. 1817 przyleciały północne zięby górskie w niewidzianych nigdy masach na nasze pola i nie chciały wcale odlecieć. Wiosna była też okropną. W tymże samym roku mieliśmy jeszcze i inne oznaki. Zimorodki gnieżdżą się zwykle na stromych miejscach brzegów rzeki. W Kwietniu 1816 i 1817 r. zaś opuściwszy dawne miejsca pobudowały swe gniazdka na stromszych jeszcze brzegach małéj rzeczki. Czego się z tego domyślano, sprawdziło się; wylew wielkiéj rzeki był tak wielkim, że zalał wszystkie na swym brzegu gniazda; na brzegach zaś małéj woda dosięgnąć ich nie mogła.

Podobny przykład zdarzył się w r. 1843. W Marcu przyleciały na wyżyny nasze czajki i pozakładały na nich pomieszkania swoje. Ztąd wnoszono, że wiosna będzie mokra i przypuszczenie to nie zawiodło. Deszcz padał często i przemoczył tak bardzo pola naszych wyżyn, że czajki dostateczną na nich znajdywały żywność, podczas kiedy brzegi okolicznych jezior, gdzie się zwykle czajki gnieździły, były zalane do tego stopnia, że ani jedno gniazdo czajcze nie byłoby ocalało. Téj saméj wiosny zapowiedziało inne zjawisko mokrą wiosnę i lato. W okolicy pewnego miasta żyło w Kwietniu owego roku 6 par pustułków (rodzaj sokołów). Parzyły się, lecz jaj swych nie zniosły, z wyjątkiem dwóch co wybudowały gniazda i młode wylęgły. Lecz wychować ich nie zdołały, gdyż niezwykła wilgoć zniszczyła tysiące owadów, stanowiących główny ich pokarm. Owéj wiosny ledwo tyle mogły wyszukać pokarmu, ile potrzeba było do zachowania własnego życia, młode zaś zdechły.

Jak więc ptaki zapowiadają wedle tego, cośmy przytoczyli, lata mokre, tak samo zapowiadają niektóre ptaki wodne suche wiosny. Opowiadano nam dziwny w tym względzie przykład. Niedaleko pewnego miasta wysiadywała przed wielu laty jaja swe w wielkim stawie gęś szara. Skoro młode gąsięta nieco podrosły, wyprowadzili je rodzice do stawu daleko mniejszego, co ogólne wywołało zdziwienie. Lecz zagadka rychło rozwiązaną została. Niezwykle gorący a w deszcz ubogi miesiąc Czerwiec owego roku wysuszył staw ów wielki, gdzie się gąsięta wylęgły. Staw zaś mniejszy pozostał. Jakże niemylnym był instynkt tych ptaków!

W roku 1832 spotkał się jeden z uczonych niemieckich, oddający się naszemu przedmiotowi w powrocie z Berlina z innym ornitologiem, z którym razy kilka polował; lecz na bagnie, gdzie zwykle tysiące było kaczek zabili lisa i zająca, bo bagno zupełnie wyschło. Ornitolog ten opowiadał że już na początku Maja wiedział, iż bagno wyschnie; gdyż w Kwietniu odpłynęły ryby rowami do blizkiéj rzeki a przybyłe późniéj kaczki, kurki i inne ptastwo wodne odleciało. Był to znak więc niewątpliwy, że lato będzie suche.

Z miejsc, gdzie jaskółki morskie zakładają gniazdka, wnosić można o powietrzu wiosenném i latowém. Jeżeli się gnieżdżą na leżących w rzekach nizkich wyspach piaszczystych, można z pewnością liczyć na suchy, wolny od wylewów rok. Jeżeli przeciwnie gnieżdżą się na wysokich zaspach piaskowych lub nawet na nieco wysokich brzegach, to obawiać się należy wylewów.

Mokre daléj lata przepowiedzieć można i z małéj liczby jaj ptaków żyjących muszkami. W roku 1843 zniosła muchołówka pospolita zamiast 5 do 6 jaj tylko dwa, najwyżéj trzy, a i wtedy jeszcze miała aż nadto do czynienia z wyżywieniem młodych swoich.

Łatwą byłoby rzeczą przytoczyć jeszcze cały szereg podobnych spostrzeżeń; sądzimy jednak, że dostatecznie wskazaliśmy drogę, na któréj dojść można do wysokiego stopnia proroctwa. Dalsze śledzenie tego przedmiotu byłoby niezawodnie nader korzystném. Może raczą nam przyjaciele przyrody, gospodarze, leśnicy udzielić swych w téj mierze spostrzeżeń, któremi nie omieszkamy podzielić się czasu swego z czytelnikami naszymi.



Spalony Ratusz (Hôtel de Ville) w Paryżu.

MĘCZENNICY PIEŚNI.

Cierniowe wieńce, które ziemia wije,
Co skronie ranią śród obelg i wrzasku,
I kilka zwiędłych kwiatów i oklasków,
Których się echo o serce rozbije...
Dni, pełne bólu i czarnéj tęsknicy,
Żar, który zwolna istnienie pochłania,
Drżącego serca straszne szamotania,
To życie wasze pieśni męczennicy!

Przecież potęga żadna, ni katusze,
Nie wydrą z serca natchnionego pienia,
Śród tortur głodu, śród cieni więzienia,
Ona rozjaśnia męczenników duszę!

Pieśni nad wszystko ciebie ukochali,
Boś ty się stała dla nich matką, bratem,
Tyś najwonniejszym ich żywota kwiatem,
W twojéj krynicy siłę swą czerpali...
Łzami cię karmiąc w głuchych dniach boleści,
Chylili skronie w niewymownéj cześci!

Więc kiedy życie wydrze z serca wiarę,
I bohaterska dusza się zachwieje,
Jak błędne ognie pogasną nadzieje,
I ziemia poda piołunową czarę...
Pieśni ty jedna w postaci anioła,
Zstępujesz do nich i słodzisz niedolę,
Szerokie zasług gotujesz im pole,
I nieśmiertelne wieńce na ich czoła.

Urjela.

LISTY Z SYBERYI.

A czy znasz Ty bracie miły, wszystkie groby i mogiły, które wznoszą się nad drogą, kędy naszych „w Sybir“ wiodą. Czyś je widział choć w swéj duszy, czy uczułeś Ty katusze, którym z braci ci ulegli, co na polu nie polegli?

A czyś widział tam narody, dzikie, straszne jak ich grody, gdzie to szydzą z naszéj doli, gdzie nie wiedzą co nas boli, gdzie nie znają co swoboda, co braterska miłość, zgoda, i co miłość jest ojczyzny?

Idźże za mną bracie drogi, ja powiodę cię w kraj wrogi, gdzie człek, choć po ludzku czuje, dla ludzi kajdany kuje, i z nieszczęścia się urąga. Gdzie z bezsennego łoża wzrok swój puszczasz z biegiem słońca, i nie widzisz cierpień końca, aż na samym końcu noża*).

A ten kraj jednak bogaty, piękny od przyrody, cudny, a że w nim są nędzne chaty, że jest pusty, mało ludny, — to — to jest przyrody kara, bo ten kraj — to własność cara, a car każdy — to wróg ludzi!

Wiadoma droga do Syberii. Tyle razy opisana przez nieszczęśliwych wygnańców, których siepacze cara na jego rozkaz wieźli, lub prowadzili, animując jednych do wytrwałości knutem, drugich poganiając kolbą by kroku pospieszyli, że uważam za zbyteczne jeszcze raz opisać podróż nie dobrowolną, i która koniec końców jest największą karą za miłość kraju, za bunt przeciwko wszechwładnemu despocie.

Pozostawiam więc opis przymusowéj podróży, z życiem w etapie, z życiem w syberyjskich więzieniach, które najkompletniéj równa się życiu całéj Rosyii na swobodzie, z rozwiązłością swoją, z brudami, złodziejstwem i przekupstwem, gdzie od Smotrytjela wszystko mieć możesz za pieniądze nie wyłączając wódki, kart i miłości; gdzie pod opieką tegoż Smotrytjela nawet — rozboje się odbywają na wielką nieraz skalę.

Sam byłem zesłany na dwanaście lat w katorgę, t. j. do robót przymusowych, i miałem przeznaczenie do kopalń. Lecz że wszystkie zakłady tego rodzaju już były przepełnione naszymi w roku 1866, i że car w napadzie dobrego humoru wszystkim o połowę kary w tymże roku darował, wysłano mnie ku północy do żupy solnéj w Ustkucie, i z téj to podróży zaczynam moje opowiadania, czy też listy z Syberyi.

Było to w Lipcu 1866, kiedy nieszczęsne powstanie naszych za Bajkałem, rząd rosyjski do nowych przeciwko nas popchęło srogości, i kiedy trzeba było opróżnić ogromne więzienie w Irkutsku, by pomieścić nieszczęśliwych, ofiary szaleństwa jednego czy dwóch nierozsądnych, choć gorąco kochających ojczyznę.

Pakowano nas na wozy, a na każdego więźnia dano w Irkutsku po dwóch żołnierzy z nabitemi karabinami, którzy nas strzegli jak oka w głowie.

Sądziliśmy, że taki będzie konwój i taka srogość w pilnowaniu aż do miejsca przeznaczenia, a sądziliśmy także, że tém miejscem przeznaczenia jest Kamczatka, lub przynajmniéj Iakutsk, dokąd także z naszych kolegów wysyłano tych, którzy się najmniejszéj winy dopuścili, lub — których fizyonomia nie podobała się któremukolwiek z półbogów rządzących Syberyą w imieniu boga — cara!

Droga wiedzie od Irkutka przez cudnie piękną okolicę, która zachwyca swą dziką romantycznością i w któréj nie znać jeszcze śladu człowieka, jeśli samą drogę, wykutą nieraz w skale wyłączymy. Ona jedna pokazuje, że wola cara wszystko może, że na jego skinienie mała liczba ludzi

*) Alluzya na nieszczęśliwą śmierć zacnego człowieka i miłego kolegi Strzemiecznego, który z rozpaczy samobójstwem pozbawił się cierpień. Pokój jego popiołom.

wszystkiego dokonać może, bo ta mała liczba ludzi — to stado roboczego bydła w oborze cara!

Góry, przez które wiedzie droga, to spadki bajkałskich gór i przedział wodny między olbrzymami rzek, między Angarą i Leną. Ze szczytu tych gór widziliśmy ku południowi nieprzebytą tajgę, las odwieczny, dziewiczy, drzemiący, w którym się toczy nieustanny bój mocniejszego ze słabszym, bój niedźwiedzia i wilka z łosiem, jeleniem i sarną; bój syberyjskiego orła ze złabemi głuszczami lub jarząbkami; bój mocnego modrzewia i olbrzymiego cedru, ze słabą sosną lub miękkim świerkiem; bój nierówny, w którym jak wszędzie słaby uledz musi, cierpiąc nieraz, jak drzewa, wiekowe męki dla tego, że mocny pozbawia słabszego pokarmów w ziemi i powietrzu, że go nawet światła pozbawia. Szczęśliwy jarząbek, który prędko, prawie bez męki skona w szponach orła; cierpienia jego prędko ustają! Nas — nas dławią powoli — modrzewia i cedry narodów, pozbawiając nas i ziemi i powietrza i światła, w czém jeszcze ludzie, zrodzeni na naszéj ziemi, ludzie, którzy twierdzą, że są kość z kości naszych i krwią z krwi naszéj wrogom dopomagają.

Przed nami tarasowato spuszczają się góry z których w téj stronie, ku wschodowi, znów jest zupełnie inny widok. Daleko rozciąga się przed tobą morze zielone bez granic i końca, spokojne, nieruchome i straszne tą nieporuszonością swoją, straszne jak grób — to step burjatski, w którym z téj odległości nie spostrzeże człowiek ni jurty na w pół dzikiego burjata, ni śladu jego, ni grobów przodków niszczycieli ludzkości, a którzy część krwi swojéj i swego charakteru potrafili przelać w żyły moskiewskiego narodu.

W drugiéj wsi był pierwszy etap na tak zwanéj jakutskiéj drodze, a raczéj więzienie zwyczajne, jakie być musi w każdéj wsi w Rosyi, która cały swój porządek zasadza na więzieniach, a że to byla mała wioska, więzienie, tak zwana „Kaletka“, także tylko było małe, wystarczające na pomieszczenie téj części ludności, która koniecznie w tym budyneczku żyć musi.

Tu zdali nas żołnierze władzy miejscowéj, t. j. starszynie w asystencyi sielskiego pisarza, który — jak powiedział — tak samo jak my był zesłany do Syberyi za politykę, bo niszczył finanse i kredyt rządu, puszczając w kurs fałszywe papierki.

Starszyna nam powiedział, żebyśmy się spokojnie zachowali, bo ma rozkaz od wyższéj władzy obchodzić się z nami srogo, gdyż Polacy nie godni lepszego traktowania, bo nie tylko się buntują w Polsce, ale nawet w Syberyi, gdzie obecnie palą, rabują i mieszkańców mordują.

Władze rządowe, jak o tém późniéj z pewnością się dowiedzieliśmy, rzeczywiście rozsiewały najdziwaczniejsze wieści o postępowaniu naszych. Długo po zgnieceniu zabajkalskiego powstania, kazały jeszcze we dnie i w nocy straże rozstawiać w około wsi, i tym sposobem jątrzyły naród przeciwko nami.

Nic nie pomogło, żeśmy tak starszynie jako i strażnikom powiedzieli, że niebyliśmy nad Bajkałem, że wprost ze szpitala nas w drogę wyprawiono. „Wy wszyscy buntowszczyki“, odpowiedzieli nam i strzegli tak, że nawet nie można było wyjść na wieś, żeby kupić cokolwiek do jedzenia. Trzeba było posyłać po wszystko na wieś, a posłaniec z pewnością wszystkie ceny podwójnie nam liczył.

W następnéj wsi nie lepiéj nas traktowano, ale przynajmniéj tak tu, jak w pierwszéj nie byliśmy we dnie zamknięci. U drzwi leżało po dwóch lub trzech chłopów, z ogromnemi pałkami lub pikami, ale drzwi były otwarte, a że sieni nie było, mieliśmy przynajmniéj świeże powietrze i świeżą wodę z bliskiéj studni w dostatku.

W oajackiéj wołości jednak było inaczéj. Tu goława i zasjedatel rozkazali, aby nas zamknąć, i nie wypuszczać na dwór pod żadnym pozorem, a nawet nie pozwolili nam odebrać małych podarunków, jakie nam ofiarowała braterska miłość niektórych osiedlonych we wsi towarzyszy niedoli. Grożono nam nawet, że w téj wołości będziemy musieli odbywać „dniówkę“ t. j. pozostać cały dzień dla wypoczynku. Przecież przypadek nas uwolnił od tego nieszczęścia. W jednym „Kabaku“ (szynku) zaszła między chłopami bijatyka, a że z takich zajść zasjedatel i goława korzyść ciągnąć umieją, jakiéj z nas w żaden sposób mieć nie mogli, natychmiast kazali nas odprawić, aby na nasze miejsca kilkunastu chłopów pomieścić.

Tak to prawie zawsze nieszczęście jednego, bywa szczęściem dla drugich, boć to w naszém położeniu odprawka do innego etapu w małéj wioszczynie była stósunkowém szczęściem.

Tu już spotykaliśmy się z potomkami burjatów, których fizyonomia jest ciekawa dla studyów fizyologicznych.

Twarz bowiem płaska, czoło niskie i wąskie, oczy których powieki rozcięte we formie ∞, nos spłaszczony, którego koniec prawie nigdy nie wystawa daléj jak płaszczyzna czoła, ucho wielkie, odstające, bez fałdy, którą zwykle nazywamy rąbkiem, nawet bez płatka uszkiem zwanego, głowa pokryta gęstym, długim w warkocz splecionym, a przytém kruczym włosem, spłaszczona, zdradzająca, że w niéj mózg nie wiele miejsca zajmuje; silnie rozwinięta, stercząca naprzód dolna szczęka, ogromne usta, z grubą dolną wargą, otóż fizyonomia burjata i tych Moskali okolicy, którzy już od rodziców mięszanych pochodzą.

Naród to spodlony, bojaźliwy, uważający każdego co go bije, nawet więźnia za „Mendu“ (za pana) — otóż obraz dzisiejszych hunnów, bo to w języku burjatskim i mongolskim wyraz „Hun“ znaczy człowiek. Hunnowie zatém siebie uważali za ludzi par excellence, jak Grecy uważali siebie wyłącznie za cywilizowanych ludzi, wszystkich niegreków za barbarzyńców.

Naród czy raczéj mongolski szczep burjatów, mieszkający latem w oajackim stepie, pokazuje nader dobitnie upadek rasy ludzkiéj nie białéj, skoro tylko wchodzi w styczność z rasą białą, indoeropejską. Szczep to kiedyś liczny, jak cały naród mongolski, z każdą „rewiską“*) pokazuje zmniejszenie się stałe, choć ono nie zawsze w równych cyfrach się objawia. Rząd rosyjski na papierze, t. j. prawnie

*) Rewiską nazywa się każdy spis ludności, następujący co 10 lub 15 lat.

go głaszcze, stara się o jego dobro; ale kilka plag nielitościwie go tępi. Temi plagami są: chmara czynowników, wódka, której nie wielki kieliszek burjatowi na kilka dni rozum odbiera, ospa i choroby tajne, które tu są nie do uleczenia. Wyrostki zatém cywilizacyi (nie mówię o urzędnikach, żeby byli temi wyrostkami) które dla potomka aryjskiego czyli indoeuropejskiego plemienia są nie wiele znaczące, tutaj są prawdziwemi plagami, którem nieraz całe ułussy (szczepy, familie) ulegają i które w ogóle to plemię dziesiętkują.

O tych okolicznościach dowiedziałem się we wsi za Oajocką wołością, gdzieśmy dniówkę mieli, a choć i tu byliśmy pod ciągłym podejrzliwym dozorem, wszakże za kilka kopiejek było można kupić od wartowników stosunkową swobodę.

(C. d. n.)

LISTY POPULARNE O MUZYCE.

III.

Starzy Grecy rozumieli pod muzyką wszystkie sztuki piękne, mianowicie zaś poezyę i muzykę właściwą. Ostatnie dwa rodzaje sztuki bywają często i w naszych czasach połączone w śpiewie. Dla łatwiejszego przeto zrozumienia późniejszych listów wypada nam wprzód pomówić o poezyi i sztuce w ogóle.

Co to jest poezya?

Pytanie podobne zdaje się na pozór być bardzo śmiesznem. Z pytaniem tego rodzaju, nawet między wykształconemi rzadko albo nigdy się niespotyka. Z tego wnosićby należało, że ogół rozumie i wie, co jest poezya.

Często się tymczasem zdarza, że z dwóch wykształconych ludzi jeden dzieło pewne uważa za „poetyczne" drugi za „niepoetyczne." Z przeciwnych sobie zdań takich zdaje się więc wynikać, że pojęcie „poezya" jest jeszcze wątpliwem.

Udając się po objaśnienie do tych, od którychby najwłaściwszéj odpowiedzi spodziewać należało, do filozofów, zajmujących się prawidłami sztuki, śmiać się niekiedy wypada, nie z pytania lecz z odpowiedzi.

Jeden uczy: „Poezya jest indyferencyą bieguna przed i podmiotowego!" To nazywają filozofowie definicyą uczoną. Definicyi takiéj nie podobna wprawdzie zrozumieć, lecz dla tego właśnie jest filozoficzną.

Wedle innego poezya jest „sztuką wytwarzania krain uroczych, pełnych piękna i harmonii, pełnych idei wielkich i natchnionych, pełnych uczuć świętych, delikatnych i głębokich, jest sztuką wydobywania z oceanu piersi ludzkiéj metrycznie związanego, a jednak wolnego słowa, przetworzenia całego świata w słodkie, niezwykłe uniesienie."

Jeżeli z definicyi téj weźmiemy słowa „święte uczucia" i zastósujemy je do pieśni Moniuszki „Był sobie dziad i baba", czyż znajdziemy tam owe „święte uczucie."

Objaśnień podobnego rodzaju moglibyśmy wiele przytoczyć, lecz przytoczone wystarczy na dowód, jak ciemną jeszcze jest rzecz ta cała.

Zastanówmy się nad nią, jako nie uczeni.

Słowo „poezya" greckiego jest pochodzenia i znaczy „robić." Słowem to nic właściwie nie tłomaczy. Cóż bo nie działa w świecie?

Wedle zwykłego rozumienia poezya oznacza dzieła utworzone, lub wedle doznanych wrażeń opisane przez poetę i za pomocą mowy nam udzielone. Lecz nie każda mowa należy do poezyi. Ostatnia wybierać zwykła przedewszystkiém wyrażenia obrazowe, przypowieści i t. p., ponieważ takowe wywołują jaśniejsze obrazy, żywiéj zajmują wyobraźnię niż abstrukcyjne (oderwane) pojęcia. Mowa poetyczna by miléj w ucho wpadała, jest sztuczniéj niż zwyczajna (prozaiczna) ułożona. Na wzór taktu, rytmicznie rozwija się takowa przy regularnéj przemianie długich i krótkich zgłosek, w odmierzonych wierszach i zwrotkach (wiązana mowa). Jest wprawdzie poetyczna proza, lecz ta w nowszych czasach nie bywa używaną i to słusznie. Bo co w mowie wiązanéj szczególny ma urok, n.p. kwiecisty, obrazowy język, jest w prozie po większéj części przesadą i nadętością.

Państwo poezyi jest niezmierzone. Bo nie tylko tém co się stało, lecz i tém co nigdy stać się nie może, zajmować zwykła. Dzieła poetyczne dzielą się na cztery różne klasy główne: na dramatyczne, epiczne, dydaktyczne i liryczne.

Dzieło dramatyczne przedstawia czyny, charaktery, sprężyny, uczucia ludzkie w czynnościach uobecnionych; dzieło epiczne opisuje też same czyny w formie opowiadania; poezye dydaktyczne (dziś nie używane) wygłaszają nauki; liryczne nareszcie opisują życie uczuciowe, cierpienia i roskosze serca. Wszystko, co należy do krainy uczucia da się wyrazić przez muzykę. Wyraz „liryczny" pochodzi od „liry", starożytnego instrumentu, na którym Grecy przygrywali do pieśni swoich. Do lirycznych tedy poezyi należy pieśń. Treścią jéj jest uczucie proste. Różni się ona przez to n. p. od aryi, przedstawiającéj kilka rozmaitych, zmiennych uczuć. Nie opisuje ona wielkich namiętności lecz zwykle uczucia umiarkowane. Wiersze i zwrotki są proste a nie sztucznie powiązane i kończą się zwykle rymami.

Dla czego pieśni tę a nie inną obierają formę? Natura sama tego nie usprawiedliwia. Ludzie nie wyrażają w życiu zwykłém swych myśli i uczuć w wierszach i zwrotkach. Pytanie to naprowadza nas na twierdzenie, które od wieków aż do naszych czasów jeszcze jest w użyciu a mimo to fałszywe.

Jeżeli się zapytamy co oznacza słowo: „estetyka?" otrzymamy wszędzie odpowiedź: „Nauka o pięknie." Jeżeli się zapytamy: „Co jest sztuka?" odpowiedzą: „Przed-

stawienie piękna." Odpowiedź taka w połowie tylko jest prawdziwą, w drugiéj zmyśleniem. Jest zmyśleniem ze względu na treść przedstawienia; jest prawdą ze względu na przedstawienie treści. Treść przedstawienia i przedstawienie treści są dwie różne rzeczy. Wystawmy sobie Madonnę; jest to przedmiot piękny; gdy obok postawimy starą i zgrzybiałą babkę, jest to przedmiot straszny. Halka i Jontek Moniuszki są istotami miłemi. Miłość Jontka do Halki jest uczuciem szlachetnem. Miłość panicza zdradza zamysły podłe. Franciszek Moor Szyllera jest charakterem wstrętnym. Z tego widzimy że nie tylko strony piękne mogą być przedmiotem poezyi.

Cóż więc w tych sprzecznych obrazach, przy artystyczném ich oddaniu, sprawia zadowolnienie. Nie może to być nic innego jak uznana prawda. Gdyby Madonna, mająca być piękną, przedstawiona była brzydką, a babka mająca być starą i brzydką, piękną, to oba obrazy będą fałszywe i tém samém nieprawdziwe.

Naturalną koleją rzeczy nastręcza się tu pytanie: gdzie jest prawda w Fauście, kiedy pudel za piecem olbrzymio rośnie a Mefistofeles z niego wychodzi? Lub jeżeli z Faustem na płaszczu oknem wylatuje? Czyż sam djabeł jest prawdą? I jakież prawdy leżą w całéj muzyce, n. p. w symfonii?

Co się tycze muzyki o tém późniéj pomówimy. Na teraz pozostaniemy przy prawdzie w poezyi i oświadczamy: że takowa nie jest zawsze prawdą z rzeczywistości wziętą, lecz niekiedy tylko przyjętą lub przypuszczaną. Że djabeł jest obdarzony wyższemi od człowieka siły, przypuszcza poeta a my przystajemy na to. W obrębie przyjętéj téj natury musi jednak wtenczas wszystko, co djabeł czyni, myśli i czuje, zgadzać się z sobą. Gdyby w scenie jakiéj okazał się był szlachetnym lub gdyby n. p. przy nocnéj jeździe pod szubienicą biegł pieszo obok Fausta i wołał dysząc: „Nie jedź tak prędko, bo nie zdążę za tobą!" to tém samém wypadłby z przyjętéj swéj natury. Co u człowieka naturalném, u niego zdawałoby się być nienaturalném, nieprawdziwém.

A teraz to, cośmy powiedzieli, zastosujmy specyalnie do pieśni. Myśl: „Com wycierpiał i dożył, przedstawiłem w pieśniach", może być prawdziwą. Lecz nic pięknego w tém nie znajdujemy. Göthe wyraża ją w pewnéj pieśni w następujący sposób:

Łzy starości, śmiech młodzieńca,
Ciernie, bóle tego życia,
Gdy je wskrzesi pieśń z ukrycia,
Są to tylko kwiaty wieńca i t. d.

Tak wyrażona, w pięknie brzmiących zwrotkach, przypowieściach i t. p. podoba nam się, gdyż myśl prawdziwa przybierając formę poetyczną, stała się piękną.

Jeżeli opilec mówi: „Picie jedyną jest roskoszą na tym świecie", jest to myśl, która w ustach pijaka prawdziwą być może, ale nikt twierdzić nie będzie że jest piękną, przeciwnie, wszyscy ją uznajemy za wstrętną.

Tymczasem poeta tak ją w pieśni wyraża:

Na trzeźwo nie mogę żyć!
Więc się upijam od rana
I zawsze z pełnego dzbana,
Do nocy wciąż muszę pić.
Za każdym kielichem wina
Piękniejszy staje się świat,
I urok młodzieńczych lat
Wstępować w serce zaczyna.

W téj formie myśl taż sama inne na nas robi wrażenie.

Myśl następująca, wyrzeczona do przyjaciela: „Cały świat opuszcza cię ale ja cię nie opuszczę", jest sama przez się szlachetną i dobrą, lecz w złéj formie poetycznéj wyrażona, staje się niesmaczną.

Dwa serca złączone wspólnie,
Klucz rzucony w morze,
Nikt nas nie rozłączy,
Chyba Ty Panie Boże!

Albo następująca zwrotka:

Wlazł na gruszkę
Rwał pietruszkę,
Rzepa mu się rodzi.

Jest tu forma, ale brak myśli.

W pierwszym przykładzie widzimy myśl prawdziwą i pięknie wyrażoną; w drugim wyrażone udatnie uczucie, jest prawdziwe lecz brzydkie; w trzecim szlachetne uczucie oddane w złéj formie; w czwartym nareszcie w pięknéj formie ukazuje się myśl nierozsądna. Pierwsze dwa przykłady podobają się, ponieważ prawda i piękno w nich są połączone. Trzeci nie podoba się, ponieważ myśl chociaż prawdziwa ale źle przedstawiona, jest niepiękną. Czwarty nareszcie nie podoba się, bo chociaż forma piękna, ale treść jest nierozsądna.

Z wymienionych przykładów widzimy, że sztuka i poezya nie tylko piękno, lecz także prawdę przedstawia; że treść może być nie tylko piękną lecz i brzydką, byleby była prawdziwą; że forma zawsze musi być piękną, bo bez niéj i najprawdziwsza myśl nie zadowolni uczucia.

Treść do pieśni noszą wszyscy ludzie w sobie, bo każdy człowiek ma serce czujące, spotyka cierpienia i radość. Każdy człowiek posiada także tyle wyobraźni, by uprzytomnić sobie uczucia i położenia innych ludzi, choć takowych sam nie doświadczał. Mało daléj jest śmiertelnych, którzyby niekiedy przynajmniéj nie mieli wielkich myśli, zapatrywań i t. d. Lecz mało stósunkowo ludzi umie stwarzać pieśni. Do tego potrzeba siły twórczéj i nauki poezyi. Są arcy delikatnie, szczęśliwie uorganizowane natury, których wypadki nie tylko żywiéj i silniéj dotykają niż wielu innych, lecz które zarazem to, co raz widzieli, co przy tém czuli, w umyśle odtwarzają (reprodukują), które nawet to, czego nigdy nie widzieli ani czuli, utworzyć mogą przez siłę swą twórczą. Jest to siła twórcza (poetycka) lub inaczéj zdolność twórcza. Tacy mają zarazem silną skłonność do wypowiedzenia wszystkiego, co widzieli i czuli, w formie poetycznéj. Jeżeli nabyli potrzebnych do tego reguł i prawideł przez studya podobnych płodów i jeżeli dobrze się wyćwiczyli, wtenczas posiadają sztuką twórczą.

Ile rodzai jest uczuć pojedyńczych, tyle jest rodzajów pieśni. Najpospolitszy podział jest na duchowne (kościelne) i świeckie. Pierwsze czerpią swą treść li tylko z uczuć religijnych, drugie chwytają wszędzie, gdzie stósunki lub wypadki

życia doczesnego, lub zjawiska zewnętrznéj przyrody wywołują uczucie. I tąk mamy pieśni miłosne, myśliwskie i t. d.

Tyle o pieśni uważanéj li tylko jako poemat. Wiele prawdziwy poeta wpłynąć może na pochopnego czytelnika. Lecz wiele jest także cudownych i różnych uczuć które w tajniejszych, ciemniejszych głębiach duszy obok siebie się snują, i których słowo wyrazić nie zdoła.

Kiedy gorące uczucie wzdyma pierś twoją i kiedy pragnąłbyś niem się podzielić, zdarza się niekiedy że ci braknie słowa.

W takim wypadku przychodzi w pomoc poezyi muzyka. Ta ma daleko obfitsze na zawołanie środki, któremi wyraża tajne zjawiska ducha.

Po bożym świecie i w podziemiach Wieliczki.

Wyjątek z Pamiętników

Wincentego Pola.

(Ciąg dalszy.)

Późno już było — w miasteczku pogasły już światła i czas był do spoczynku — kowal nie był jeszcze koło koni i bryczki, ukończył roboty, więc przyjąłem nocleg u moich górników.

O świcie zbudził się dom cały, ojciec i Staś pożegnali mnie gdy się dzwonek z nad zamku odezwał, dający znak na zmianę górników, a matka podała kawę i zasiedliśmy oboje do śniadania. Służąca wbiegła i powiada, że pan Kazimierz idzie. Prosiłem matki, aby nie mówiła kto jestem, bo ciekawy byłem, czy mnie pozna, a chciałem mu się przypatrzeć zanim by mnie jeszcze poznał.

„Mamy gościa", rzekła matka gdy wstąpił do izby stołowéj.

Obojętnie spojrzał na mnie, nie kiwnął nawet głową i przeszedł do alkierza. Tu złożył na swoim stole jakieś papiery.

Choć nie był górnikiem, był w stroju górniczym ubrany. Jakieś wielkie wysilenie i zamyślenie malowało się na jego twarzy. Wzrok był rzeczywiście chwilami niby obłąkany. Niedługo bawił w alkierzu, a wróciwszy pyta matki:

„Czy długo mnie nie było?"

„Trzy przeszło doby", rzekła smutnie.

„Nie myślałem że tak długo", mruknął sobie pod nosem.

„A co dziś za dzień?"

„Niedziela", rzekła matka, patrząc na mnie jak gdyby mi chciała powiedzieć: wszak widzisz, z kim sprawa?

„A czy to ranek czy to wieczór?"

„Ranek, i w klasztorze przedzwonili na prymaryą. Możebyś się ogarnął i poszedł do kościoła?"

Uśmiechnął się ironicznie i rozpatrywał się po izbie i po stole.

Oczy, znać odwykłe od dziennego światła, ściągały się kurczowo.

„A co to?" zapytał, „kawę pijecie."

„Kawę", rzekła matka, „może pośniadasz z nami?"

„Mam jakiś dreszcz, napiłbym się wódki."

Napił się, zjadł kawałek chleba, zapalił lulkę, siadł w ojcowskiem krześle i patrzał na mnie długo, zamyślony, a potém zdrzymał się i lulka wypadła mu z ręki.

Matka podjęła ją z ziemi, pokiwała stroskana głową i powiada do mnie:

„A cóż? — ani powitał, ani poznał, nie wie, czy to noc, czy dzień, czy ranek czy wieczór, nie wie ile dni był pod ziemią i cóż tu mówić na to?"

„Może by go lepiéj zbudzić i położyć w łóżko?"

„On się do łóżka kłaść nie lubi, bo powiada, że dusza gnije w łóżku i zazwyczaj spi tylko siedząc i ubrany i nic nie wiem, czy się lada chwila nie zerwie i nie pójdzie znowu na jaki tydzień pod ziemię."

Sen jego był niespokojny, matka podłożyła mu poduszkę pod głowę, a większą poduszkę pod bok, bo owisł strudzony na krześle. Była to niedziela i cały dom był jak pudełeczko wysprzątany. Matka sprzątnąwszy po śniadaniu naczynia otworzyła okno, podpięła pawiemi piórkami siatkowe firanki na święto, narwała kwiatów w ogródku i postawiła bukiet przed obrazem Matki Boskiéj, a potém powiada:

„Jużcić ja nie mogę dziś iść do kościoła, a bywam tylko na mszy rannéj, bo jakżebym tak Wielmożnego Pana tu samego zostawiła, a i Kazimierz nie wiem co zrobi jak się przebudzi. Przepraszam, to niedziela, trzeba się pomodlić," i wzięła książkę od pacierzy z półki i odeszła do alkierza smutna.

Sielanka górniczego życia, zmieniła się w méj duszy na tragiczną nowellę.

Dziwna rzecz. Prawda, żem się bardzo był odmienił od owéj chwili gdyśmy Kazimierza żegnali jako studenci i towarzysze jego za grudecką rogatką, bo i wąs się posiał i wyrosłem i zmężniałem, odbywszy kampanią, więc nie dziwiłem się, że mnie Kazimierz nie poznał, ale to rzecz dziwniejsza, że dopiero we śnie rozpoznał rysy przyjaciela młodości, bo po godzinnem śnie może, zerwał się jak szalony i uderzył we drzwi nie widząc tego, żem przy stole siedział. Głosem w którym się cały krzyk serca odzywał wołał:

„Wincenty! Wincenty! gdzieś ty? poznałem cię po oczach."

Wybiegły sługi, wybiegła strwożona matka z książką od pacierzy w ręku i przytrzymali go w sieniach.

Ja ująłem go w pół i rzekłem:

„Ja tu jestem mój Kaziu."

Wyrwał mi się z rąk. Otworzył oczy szeroko...

„Więc to nie sen? Cóż to znaczy? Z kąd tu się wziąłeś?"

Ściskał mnie długo i serdecznie — płakał i matka płakała i sługi, a ja nie mógłem przemówić słowa od wzruszenia. Po chwili takiego uniesienia, upadł bezwładnie w krześle i rzekł do matki:

„Kiedy jego mam, to wszystko znowu dobrze.“

„Ale z kąd się tu wziąłeś?“

„Uspokój się“, rzekła matka, „kochał cię i odszukał cię.“

Z szałem prawie zrywając się z krzesła zawołał:

„Kochał, kochał, ale czy kocha? kto dziś kocha? i za co miałby mnie kochać?“

Znając go dobrze, krzyknąłem groźnie na niego!

„Kaziu nie bądź głupi!“

Pocałował mnie z uszanowaniem w ramię i opamiętał się do razu.

Matka uderzyła w ręce. Przemienienie Pańskie!

Kazimierz miał odtąd wzrok przytomny, patrzał z miłością na mnie i mówił bardzo rozsądnie. W krótkich słowach opowiedziałem mu przejście swoje od czasu naszego rozstania się z sobą i losy wspólnych naszych przyjaciół młodości w których kole dwóch tylko zabrakło, bo poeta Kikiewicz zginął na moście w bitwie pod Tykocinem, a Stanisław Pilat był jeszcze w niewoli moskiewskiéj sołdatem na linii kaukazkiéj i bił się z czerkiesami. Czarem prawie widziałem go zmienionym jednéj chwili.

„Kiedy cię mam“, rzekł do mnie, „to ja się ciebie nie puszczę.“

Matka złożyła ręce i spojrzała w niebo.

„Słuchaj Kaziu, kiedy tak, to jedź ze mną do Krakowa.“

Uścisnął mnie serdecznie.

„Nie tylko do Krakowa — gdybyś jechał nawet do piekła, to w piekło nawet z tobą i za tobą pojadę.“

Matka chwyciła za mą rękę i ucałowała ją, a Kazimierz ściskając jéj kolana rzekł:

„Matusiu nie trapcie się mną teraz, wszystko już dobrze będzie, prócz tego — że Anusi nie wskrzesim już z grobu.“

Lękając się rozczulenia ozwałem się znowu:

„Kaziu nie bądź głupim, mnie czas jechać! Idź do kowala, tam jest mój człowiek z końmi i z bryczką, niech kończy spieszno robotę i zajeżdża tu w dziedziniec, bo mnie czas wielki jechać do Krakowa.“

Skoczył do alkierza, ogarnął się spiesznie i nie upłynęło pół godziny a siedzieliśmy już na bryczce w drodze do Krakowa.

Z podwórka jeszcze żegnała nas matka ze złożonemi rękoma. Gdyśmy przejechali kilka wzgórków, ukazał nam się Kraków z zamkiem z wszystkiemi wieżami i kościołami swojemi. Widok ten zamykało pasmo Sikornika i mogiła Kościuszki.

Raz pierwszy patrzałem w téj chwili na Kraków — łzy mi trysły z oczów.

„A co“, rzekł Kazimierz, „czym to źle pisał do was ową epistołę, że nie mnie do was, ale wam do mnie droga i że każdy Polak choć raz w życiu musi odwiedzić Wieliczkę i Kraków?“

(C. d. n.)

SPALONE GMACHY W PARYŻU.

(Z ryciną.)

Kto nie widział przed wojną Pruską Paryża, zwanego niedawno nowym Babilonem, pełnego przepychu, bogactw, zbiorów wszelkiego rodzaju sztuk, ten nie może dostatecznie ocenić szkód jakie ta wojna, a stokroć więcéj wandalizm komuny wyrządził.

Ażeby dać czytelnikom naszym przybliżone pojęcie o stanie obecnego Paryża i o szkodach przez komunę wyrządzonych, kreślimy spis li-tylko gmachów rządowych, leżących po większéj części dziś w gruzach, dodając zarazem krótką ich historyę.

Smutną tę, cmentarną wędrówkę rozpoczniemy od najokazalszego z paryskich pałacow, Tuileryi, nazwanych tak od sąsiedztwa fabryki dachówek, która jeszcze istniała za Ludwika XIV. Kamień węgielny pałacu położyła w r. 1564 Katarzyna de Médicis; Henryk IV prowadził daléj rozpoczętą budowę, którą ukończył Ludwik XIV. Henryk IV zbudował także galeryą, łączącą po stronie Sekwany Tuilerye z Louwrem; pawilon po stronie północnéj rozpoczął Napoleon I. a dokończył III, który także podniósł środkowe pawilony o jedno piętro. Pawilony te trzypiętrowe rozpadały się na środkowy, zwany d'Horloge, prawy t. j. północny de Marsan i południowy, nad Sekwaną de Flore. Ludwik XIV i XV tylko krótko rezydowali w Tuileryach. Dnia 6 Października 1789 r. schronił się do Tuileryi Ludwiki XVI wraz z rodziną, wypędzony z Wersalu. Dnia 21 Czerwca 1791 r. uszedł on ztąd, by schwytany w Varennes, powrócić 25 tm. Dnia 20 Czerwca 1792 r. wtargnął lud do pałacu, a jeden z rozkoszan zmusił nieszczęśliwego monarchę, by ustrojony w czerwoną czapkę frygijską pił z okna zdrowie Sansculotów. W zaledwie dwa miesiące później, bo 10 Sierpnia, nastąpiła w Tuileryach rzeź Szwajcarów i wiernych królowi gwardyi, poczém Ludwik XVI uciekłszy pod opiekę zgromadzenia narodowego, zginął na rusztowaniu. Dnia 10 Maja 1793 r. osiadł w sali teatralnéj pawilonu Marsan konwent, później „rada starców“; dnia 19 Lutego 1800 r. obrał Bonaparte, jako konsul, Tuilerye za rezydencyą, w któréj w 10 lat później obchodził zaślubiny swe z Maryą Ludwiką, arcyksiężniczką austryacką, a 20 Marca 1811 r. urodziny króla Rzymu. Po powrocie Burbonów na tron odziedziczyli oni Tuilerye, zkąd ich znów wypędził Napoleon. Dnia 8 Lipca 1815 r. Ludwik XVIII osiadł stale w pałacu, który 19 Lipca 1830 r. odebrał lud starszéj linii Burbonów, a 24 Lutego 1848 r. młodszéj linii t. j. Orleanom. Od 2 Grudnia 1851 aż do 4 Września 1870 r. rezydowali w Tuileryach Napoleonidzi, następnie urządzono w nich szpital w czasie oblężenia, daléj komuna urządzała w wspaniałych komnatach pałacu koncerta na rzecz rodzin poległych gwardzistów, aż go nareszcie spaliła za pomocą oleju skalnego 24 Maja r. b.

W chodząc do Tuileryi od strony dziedzińca przez pawilon de l'Horloge, miało się po lewéj stronie komnaty, zamieszkiwane zwykle przez monarchinie i książąt, po prawéj salą des Gardes, daléj przepyszne wschody, zbudowane za Ludwika Filipa przez Fontane, wiodące do kaplicy, wspaniale zrestaurowanéj przez Napoleona III, podpartéj przez dwa rzędy kolumn, dźwigających trybuny dla dworu. Na suficie przedstawiał obraz al fresco wjazd tryumfalny Henryka IV do Paryża. Za kaplicą znajdowała się sala w któréj się zbierała cesarska rada stanu, daléj sala teatralna, ozdobiona jońskiemi filarami i mieszcząca w półkolu 600 widzów.

W pawilonie de l'Horloge zawierała sala marszałków portrety i popiersia najznakomitszych wodzów francuskich. Z niéj szło się do sali des Gardes, a z téj do sali de la Paix, ozdobionéj na suficie obrazem al fresco pędzla Nicolas Loir, przedstawiającym Apolina. Sala tronowa przybrana była w drogocenne gobeliny; jéj sufit zdobiła allegorya al fresco Flemmaël'a, wyobrażająca religią, osłaniającą Francyą swém skrzydłem opiekuńczem. Za prywatnemi komnatami znajdowała się tak zwana, galerya Diany, służąca za salę jadalną, mająca 176 stóp długości a 32 szerokości, która wiodła swój początek z czasów Ludwika XVI.

W skrzydle pałacowém, łączącém Tuilerye z Louwrem po stronie Sekwany, była na pierwszem piętrze galerya obrazów, na dole znajdowały się koszary dla pałacowéj załogi. W pawilonie Marsan mieszkała przed laty księżna Orleańska. Galerya łącząca Tuilerye z Louwrem od ulicy Rivoli, wzniesiona głównie staraniem Napoleona III, kosztowała 29,657,763 franków. W jéj wnętrzu mieściły się ministeryum stanu i spraw wewnętrznych, dyrekcya telegrafów, biblioteka, stała wystawa sztuk pięknych i sztab jeneralny naczelnego dowództwa Paryża.

Louvre, starszy wiekiem od Tuileryi, istniał już w r. 1204 od nie wiadomo wielu lat i był już wówczas silném zamczyskiem, do którego dodano wieżycę, więzienie krnąbrnych wazałów, a zarazem rezydencya Karola VI, która jeszcze w roku 1528 groźne nad Paryżem wznosiła czoło. Franciszek I upiększył znacznie pałac czy zamek na przyjęcie w r. 1539 Karola V, Henryka II, prowadził daléj budowę, którą zdobił rzeźbami słyny Jean Goujon. W Louwrze mieszkała Katarzyna de Medicis, z okien Louvru strzelał do uciekających wpław przez Sekwanę hugenotów Karól IX, w pamiętnéj nocy 24 Sierpnia 1472 r. Tenże król rozpoczął budowę galeryi łączącéj Louvre z Tuileryami. Aż do Ludwika XIV wszyscy królowie francuscy rozprzestrzeniali i upiększali pałac, który w końcu był arcydziełem a zarazem arcydzieł sztuki, mianowicie malarskiéj, przybytkiem. Obie fasady pałacu były dziełem Perraulta; wschodnia, któréj perystyl tworzyło 52 kolumn porządku korynckiego, była ozdobioną posągiem Ludwika XIV i nad wielką bramą płaskorzeźbą Cartellier'a. Napoleon I, Ludwik XVIII i Karól X, głównie przecież Napoleon III przyczynili się do upiększenia Louvru, ostatni zaś całkowicie go wykończył. W dziedzińcu wewnętrznym znajdował się do rewolucyi lutowéj posąg księcia Orleanu, późniéj Franciszka I. Dla tych, którzy nie znali Louvru dodamy, że prócz galeryi obrazów, znajdowały się w nim Sala klejnotów, Sala tronowa, starożytności egipskie, muzeum monarchów, zawierające zbroje królów francuzkich, kaplicę Henryka III i wiele innych arcyciekawych przedmiotów, należących do monarchów rozmaitych. W sali Napoleona podziwiano wspaniałą kolebkę króla Rzymskiego, łóżko obozowe cesarza Napoleona I, jego ubranie, koronę Karola W., którą się koronował pierwszy Bonaparte i t. d. W Louvrze były także sala sztychów i rycin, Muzeum marynarki i etnograficzne. Strata zatém Louvru, a przedewszystkiem jego zabytków sztuki byłaby niepowetowaną i nie dałaby się obliczyć nawet na miliardy!

Ratusz, przy placu Grève, którego budowę rozpoczęto 15 Lipca 1533 r., a ukończono za Heryka IV w r. 1605, został w późniejszych czasach znacznie powiększony zakupnem 30 kamienic obok niego położonych, których część do niego złączone, resztę zaś zburzono, tworząc przed gmachem plac obszerny. Sale przyjęcia i balowe w ratuszu przewyższały przepychem opartamenta pałaców cesarskich, a kto raz był obecnym na balach dawanych w Hôtel de Ville przez p. Haussmanna, temu gmach ten na zawsze pozostanie w pamięci. Zbudowany w formie równoległoboku, miał dwa piętra, a zewnątrz pięć dziedzińców. Po rogach znajdowały się trzypiętrowe pawilony, a po stronie zachodniéj wieża. Główną bramę zdobiła płaskorzeźba, przedstawiająca Henryka IV, którą komuna kazała usunąć. Szereg posągów najznakomitszych członków magistratu stolicy znajdował pomieszczenie w niszach na ten cel sporządzonych.

W Hôtel de Ville zgromadzili się w r. 1789 wyborcy Paryża, by ogłosić swym merem pana Baily; tu upadła 10 Sierpnia 1792 r. rada municypalna, zastąpiona komuną która równie runęła, 9 themidora wraz z Robespierrem. Wszystkie rewolucye miały w ratuszu swoje ognisko; 4 Sierpnia 1870 r. ogłoszono tu rzeczpospolitą — w Marcu 1871 r. komunę.

(Dokończ. nast.)

Szarada.

Trzecie, pierwsze, jest miasto, jeśli wiedzieć chcecie
Które, to w drugie, trzecie, w czytać się musicie.
Wszystkie bywają źródłem zawodów złowrogich,
Są jednak skarbem ubogich.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 28: ***Majster.***)

Korespondencye Redakcyi.

Pani Stok... z nad Wełny: Jeżeliby Pani porównała wydawnictwa niemieckie tego rodzaju, toby się okazało, że lepszych warunków nie podają. Co do wypadków na przyszłość, nikt za nie odpowiadać nie może. Wydawnictwo ręczy za taką ilość za jaką pieniądze otrzymało. Zresztą jest to modus przyjęty obecnie w całéj Europie. Że damy polskie w miejscu pism polskich trzymają niemieckie, nawet otwarcie Polakom nieprzyjazne (Ueber Land und Meer) dziwi nas to bardzo. Pismom illustrowanym polskim, jakiemi są Kłosy i Tygodnik żadne w Europie ani pod względem treści, ani pod względem artystycznej strony dorównać nie może. Cena ich w stosunku publiczności czytającéj, jest niższą od pism zagranicznych. W końcu Sobótka jest równa w cenie wielu pismom najtańszym w Niemczech, a o ile dziesiątków tysięcy ma mniéj prenumeratorów niż tamte. Jeżeli kiedy to dziś nikt u nas na drogość pism narzekać nie może — płakaćby raczéj należało nad brakiem czytelników. Porównaj pani ceny książek angielskich, francuzkich i t. d. a przyjdziesz do tego przekonania, że często nie ceny ale obojętność ogółu jest przyczyną złego. Pytaj się Pani Matejków, Grotgerów, Szopenów i t. d., gdzie dzieła swe zbywali a przekonasz się, że co w Polsce nie było do zbycia, u Francuzów i Niemców chętnych nabywców znalazło. Co do prenumeraty Encyklopedyi, zechciéj Pani nazwisko i adres swój przesłać a przy przesłaniu pierwszym zeszytów, wydawnictwo pieniądze przez zaliczkę pocztową ściągnie. Za numera uszkodzone poczta odpowiada. — Panu T. I. w Poznaniu: O rycinę i opis prosimy bardzo.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).